

Nowy produkt zakończył swój bieg na taśmie produkcyjnej. Przeszedł do magazynów i stamtąd w świat, na półki sklepowe lub do innego zakładu — jako półfabrykat czy gotowe urządzenie. A więc nastąpił finał tworzenia wyrobu; teraz zaczyna w grę wchodzić jego żywotność, jego przydatność dla człowieka.

Przydatność? Określenie dosyć ogólne, wiele bowiem składa się na to czynników, różna też jest funkcjonalność wyrobów. Jak więc sprawdzić cały problem do wspólnego mianownika? Jak go znaleźć w przypadku — powiedzmy — buta i obrabiarki?

Tym wspólnym mianownikiem jest nowoczesność wyrobu. Mówiąc „nowoczesny but” mamy na ogół na myśli jego modny, estetyczny wzór. W przypadku obrabiarki pomyślimy już raczej o jej wysokiej produkcyjnej sprawności. Niepełne to jednak spojrzenie i stąd pozorna różnica definicji nowoczesności. W istocie, w obu przypadkach, polega ona na uzyskaniu maksymalnej użyteczności wyrobu dla naszych produkcyjnych, czy konsumpcyjnych celów, przy zachowaniu racjonalności nakładów w fazie wytwarzania i wykorzystywania produktu.

Ten sam nowoczesny w kroju bucik może być produkowany ręką rzemieślnika lub na taśmie, przetwarzającym systemem, w którym mar notrawi się np. wiele drogiego surowca lub w sposób nowoczesny z zastosowaniem trwałych materiałów syntetycznych. Nowoczesność wyrobu jest to więc zarazem odpowiadający gustom i światowej technice dobry wzór, a zarazem oszczędność w kosztach produkcji wysokiej jakości, użyteczności produktu.

Oto cała złożoność problemu, który w hasłach na fabrycznych murach wyraża się lakonicznie: „Wiecej — Taniej — Lepiej”. Taki właśnie, w ostatecznym rachunku, jest główny sens nowoczesności produkcji. Aby ją osiągnąć, nie wystarczy znowu wzór, modernizacja samego wyrobu, bo może to wówczas znaczyć jedynie „Lepiej”. Natomiast „Wiecej” i „Taniej” umożliwia modernizacja całego procesu produkcyjnego. Dlatego tyle się dzisiaj mówi o potrzebie unowocześniania produktu i produkcji.

Jest to długofalowa, wielostronna kampania, dotycząca całej gospodarki w pełnym jej przekroju: od procesu technologicznego — do finalnego wyrobu. Przede wszystkim chodzi o pełne rozpoznanie poziomu naszych wyrobów i porównanie ich ze standardem światowym. Czynimy to obecnie w akcji pod hasłem

Zbiłut Sęk

NOWOCZESNOŚĆ SZANSĄ ROZWOJU

A—B—C. Każda z liter daje ocenę stopnia nowoczesności produktu. Chcielibyśmy mieć ich większość — rzecz jasna — w grupie „A”, tej o najwyższym światowym standardzie.

Drugi etap kampanii, to wszechstronny program modernizacji zaplecza: powszechne zastosowanie najnowszych maszyn, urządzeń i sposobów wytwarzania, opartych na ostatnich zdobycach wiedzy i techniki. Nie jest to sposób łatwy i szybki, ale — jedyny dla osiągnięcia dużej efektywności naszego działania gospodarczego. Takie zadanie, wysunięte już przez Biuro Politycz-

PRZED WOJEWÓDZKĄ KONFERENCJĄ PARTYJNĄ

ne KC PZPR w 1960 i 1962 r., realizuje się obecnie w kluczowym dla krajowego postępu technicznego przemyśle — maszynowym i elektrotechnicznym.

Jaka tutaj rola Wielkopolski?

Jesteśmy wysoko notowani w krajowej statystyce: znajdujemy się na piątym miejscu w tabeli, dostarczając krajowi 7,3 proc. całej jego globalnej produkcji przemysłowej. Co mówią te niewielkie pozornie procenty?

Jeszcze kilka lat temu dostarczaliśmy dla kraju głównie przetwory rolno-spożywcze. Obecnie do głosu doszła w Wielkopolsce produkcja paliwowo-energetyczna, której zapewniamy jedną trzecią produkcji krajowej, a także automatyka przemysłowa (40 proc. produkcji krajowej). Dzisiaj również zaczyna się liczyć w gospodarce narodowej — wielkopolski przemysł elektromaszynowy. Ten właśnie, od którego tyle zależy. W strukturze naszego regionu wyroby przemysłu elektromaszynowego stanowią jedną czwartą produkcji globalnej przemysłu z Poznańskiego. Ta właśnie — obok automatyki — dziedzina staje się naszą perspektywiczną specjalnością. Już obecnie więc wielkopolski standard wpływa na poziom całego przemysłu elektromaszynowego.

stażystów). Dział ten, według wskazań metodycznych katedr WSR i instytutów specjalistycznych, sprawdza przydatność wszelkich nowości naukowych, a ponadto prowadzi dodatkowe badania na wyłączonych z ogólnego płodozmianu polatkach doświadczalnych.

Sądząc po dotychczasowych wynikach, droga od nauki do praktyki przez Sielinko jest chyba tą, długo poszukiwaną, najwłaściwszą. Zakład istnieje od 1956 roku. W miarę swego rozwoju i rozbudowywania punktów informacyjnych, daje praktykę, a zarazem i nauce, niezwykle cenne sprawdziany założeń teoretycznych, ukazuje doświadczalnie możliwości wykorzystywania rezerw tkwiących w naszej ziemi.

Przykłady?

Sielinko posiada 100 wysokomlecznych krów, z których każda daje średnio rocznie po 4600 l mleka o przeciętnej tłuszczości 3,5%. Rozwijając hodowlę przez kilka lat, stwierdzono, że bez mechanizacji jeden pracownik zdolny jest obsłużyć (karmienie, udój, pielęgnacja) tylko 12 krów, przy częściowej 20, a przy pełnej mechanizacji obory 30 krów. Bardzo pouczające doświadczenie. Podobnie na polu: średnio 30 q/ha czterech zbóż, 500 kwintali lucerny.

Nie dziwnego, że do Sielinka jada po poradę praktycy: kierownicy PGR-ów, przewodniczący spółdzielni produkcyjnych, rolnicy indywidualni, agronomowie gromadcy — nie tylko z powiatu nowotomyskiego. Stawiają pytania, szukając odpowiedzi na określone zagadnienia. Często dotyczą one znanych a niestosowanych metod uprawy i nawożenia. Padają pytania: co to znaczy magnetyczne dokarmianie roślin, uprawa ziemi bez orki, jak skrócić okres tuczu trzody chlewnej? Czasem skromny gospodarz przyniesie sporą grudkę ziemi i prosi o zbadanie jej potrzeb nawozowych. Mikrobiolog, zoolog i laboranci, mają pełne ręce roboty. Fama dobrej rady roznosi się szeroko.

Ale doświadczalnicy z Sielinka nie czekają na rolników. Wychodzą

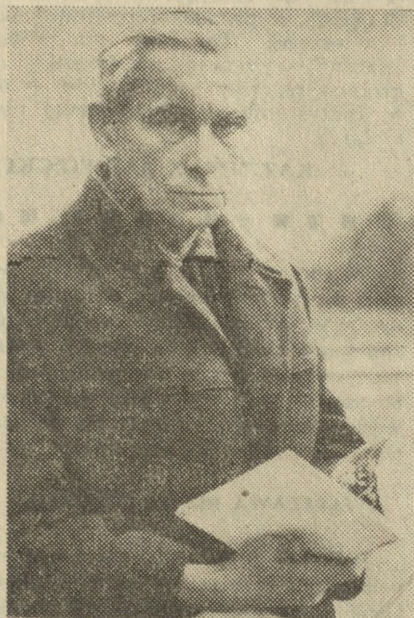
I nie tylko tego przemysłu. Stalimy się przecież jedynym w kraju wytwórcą niektórych obrabiarek, agregatów zespołowych, jesteśmy głównym producentem silników okrętowych dużej mocy, silników agregatowych, sprężarek, aparatury paliwowej. Tym samym dyktujemy swoim poziomem produkcji standard eksportowanych z Polski statków, decydujemy o jakości zautomatyzowanych cyklów produkcyjnych itp. Wystarczy, że dostarczymy kooperantom przestarzały (kosztowny, niewydajny) typ sprężarki, by zdyskwalifikować całe nowoczesne urządzenie, do którego sprężarkę wmontowano.

Nakłada to więc na nas poważne obowiązki w realizacji programu modernizacji produkcji i wyrobu. Będzie ten plan mało realny, jeśli załogi kluczowych zakładów przemysłu terenowego i spółdzielczego pracy a także rzemieślnicy-kooperanci, nie włączą się do walki o nowoczesność, jeśli nie zadamy również o odpowiednią bazę techniczną i naukową.

Dotychczasowe wyniki dowodzą, że zdaje sobie z tego doskonale sprawę nasza podstawowa kadra robotnicza i inżynierska. Mamy też dobre przykłady współpracy nauki z praktyką w tworzeniu nowoczesności polskiej o światowym poziomie: Politechniki Poznańskiej i Pometu, Akademii Medycznej i Polfy, katedry chemii UAM i Stomila. Węć są rezultaty. Jesteśmy jednak niecierpliwi, chcemy osiągnąć jeszcze lepsze wyniki, w jeszcze krótszym czasie. Bo za drogą nas kosztuje i zbyt mało daje przestarzała produkcja, nienowoczesne wyroby. A przecież musimy sprzedawać je i za granicę.

Jest jeszcze inny, zasadniczy powód dla którego tak ważną sprawą jest nowoczesność. Chodzi o to, że tylko w niej widzimy szansę rozwoju gospodarczego Wielkopolski. Nie mamy możliwości dorównać przemysłowi ciężkiemu Śląska, węgla brunatnym przegonią nas później Łódź, czy Dolny Śląsk, rolnictwo stanie się domeną Opola i innych regionów. Pozostaniemy na mapie gospodarczej kraju tylko wówczas, będziemy się liczyć w przyszłości w polskiej ekonomice jedynie wtedy, kiedy potrafimy stworzyć nowoczesny wyspecjalizowany przemysł. Jest to zatem dla nas problem perspektyw w rozwoju. Problem to fundamentalny również dla wielu gałęzi krajowego przemysłu.

Poznańscy pisarze



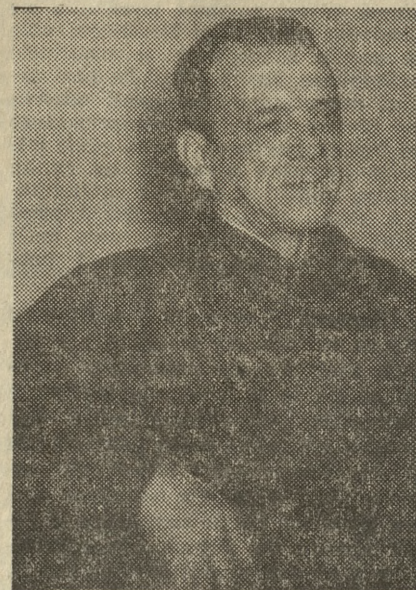
Historia Teatru Polskiego w Poznaniu nierozdzielnie związana jest z imieniem dwóch Stanisławów Hebanowskich. Pierwszy był architektem i zbudował gmach teatru; wnuk jego od kilkunastu już lat jest kierownikiem literackim tej sceny, rzucając swą wielką indywidualnością na wszelkie nieomal jej artystyczne poczynania. A już samo to — bo przywilej ten i cnota bywa z reguły udziałem tylko dyrektorów, sławnych aktorów i inscenizatorów, a nie kierowników literackich — wyznacza zupełnie wyjątkową pozycję Stanisława Hebanowskiego w naszym teatrze. Znany miłośnik teatru, tłumacz i wielki znawca dramaturgii tak polskiej jak i zachodnioeuro-

tygodnia

Nr 166

20. XII. 1964

Rok IV



NASZE ROZMOWY

Tokarz na schwał

„W Włepofama”, czyli Wielkopolska Fabryka Urządzeń Mechanicznych. Tutaj, od 1936 roku pracuje jako tokarz nasz dzisiejszy rozmówca — Jan Bartkowiak. W ciągu dwudziestu ośmiu lat, wdrożył w tajniki tokarstwa wielu młodszych kolegów. Ba, w rodzinie Bartkowiaków zawód ten przeszedł na następne pokolenie: dwóch synów pana Jana pracuje z nim także w „Włepofamie”. Młodszy uczy się zarazem w Technikum.

Jan Bartkowiak należy do tych pracowników fabryki, o których mówią: „fajny chłop”. Nic dziwnego. Jest nie tylko dobrym fachowcem, cechując go także koleżeńskość i pogodnie usposobienie. Życiowe losy Bartkowiaka są niejako częścią historii poznańskiego proletariatu.

— Naukę zawodu rozpocząłem po zakończeniu Powstania Wielkopolskiego. Przedtem Prusacy utrudniali Polakom zdobycie kwalifikacji. W moich młodzińskich wspomnie-

niach przeżycia powstania utrwaliły się szczególnie wyrażenie. Pamiętam dobrze walki, jakie toczyły się na Starym Mieście i w innych częściach miasta. Po powstaniu, jako 17-letni chłopak, trafiłem do Centrali Piłgów Parowych, która znajdowała się przy ulicy Grudzień. Dzisiaj piugi parowe są zabytkiem muzealnym. Wówczas był to nowoczesny sprzęt rolniczy. Właśnie w tym przedsiębiorstwie zaczęła się moja droga do zawodu tokarza. Wreszcie po kilku latach otrzymałem do samodzielnego wykonywania różne zlecenia. Obrany przeze mnie zawód nie był jeszcze tak licznie reprezentowany jak dzisiaj. Przez jakiś czas nawet nieźle zarabiałem. Ale wkrótce po moim ożenku, w 1930 r., rozpoczęły się lata kryzysu gospodarczego. Fabrykę zamknięto, nas zwolniono. Zaczął się koszmarny okres. Przez trzy i pół roku nie mogłem znaleźć pracy. Niechętnie wspominam te czasy. Rynek Jeżycki był wprost obleżony przez ludzi, szukających dorywczego chociażby zajęcia. Gdzie człowiek zapukał, otrzymywał tę samą odpowiedź: „pracy nie ma”. Jak dostało się dorywczą robotę przy zamiataaniu ulic, to miało się wielkie szczęście. A przecież byłem fachowcem, miałem zawód.

W 1936 roku, dzięki jednemu z kolegów, mającemu znajomości w Wielkopolskiej Fabryce Maszyn i Narzędzi, dostałem wreszcie stałą pracę. Pachniało już wówczas wojną. Fabryka wykonywała obrabiarki dla zakładów zbrojeniowych. Warunki w tym okresie poprawiły mi się, ale nie na długo. Nadszedł rok 1939. Cały okres okupacji udało mi się przetrwać w „Włepofamie”. No, a potem przyszło wyzwolenie i robota, której było po same uszy. Wiedzieliśmy jednak, że robimy dla siebie, że żaden kryzys nie pozbawi nas już chleba. Ot, i takie było moje życie.

— Podobno ma Pan na koncie kilka racjonalizatorskich usprawnień?

— Czasem, kiedy było potrzeba, majstrowałem coś niecoś. Pierwszy raz stało się to w 1946 roku. Przekonstruowałem dźwign ręczną na mechaniczną. Moje ostatnie natomiast prace w tej dziedzinie, to wykonanie, według własnego pomysłu, wrzecienika do szlifierki i ostrzałki do noży kątowych.

— A co Pan robi najchętniej poza pracą?

— Lubię muzykować. Jeszcze w latach dwudziestych nauczyłem się gry na mało znanym obecnie instrumencie zwanym bandonion. Jest on trochę podobny do akordeonu. Kiedyś, w latach mojej młodości, był niezwykle popularnym instrumentem. I jak dawniej, również dziś lubię w niedzielę, czy podczas koleżeńskich spotkań, zagrać jakąś melodię. Mam dosyć obszerny repertuar od polecki do „Lekkiej kawalerii”. Jest wówczas człowiekowi weselej, przyjemniej...

Rozmawiał:

MIROSLAW IDZIOREK

STANISŁAW HEBANOWSKI

pejskiej, założyciel i kierownik artystyczny interesującego Teatru 5, laureat nagrody zespołowej II stopnia Ministra Kultury i Sztuki (wraz z Markiem Okopińskim) i nagrody za prace przekładowe jury III Kalskich Spotkań Teatralnych — jest również autorem esejów i studiów o tematyce teatralnej oraz tomu opowiadań i niedokończonych powieści historycznej.

O własnej twórczości literackiej mówi jednak Stanisław Hebanowski mało i niechętnie. Za to o teatrze często, z zapałem i ogromną pasją. Korzystając z wybornej okazji jaką daje nam ta rozmowa pragniemy dziś uzyskać od niego garść opinii na temat teatru, starej i nowej dramaturgii i w ogóle dowiedzieć się co go najwięcej nęci i frapuje w współczesnym teatrze.

— Jaki model teatru wydaje się Panu najbliższy i co ten dobry teatr powinien grać, a czego strzec się i unikać — pytam na wstępie Stanisława Hebanowskiego.

— Na moje widzenie teatru duży wpływ miał Wilam Horzycy. Kiedyś sądziłem, że Fredro jest nudny, Bałucki głupio-mieszczanski. Dzisiaj uważam, że nawet w „Domu Otwartym” Bałuckiego można znaleźć bardzo interesujące problemy do pokazania na scenie. Dlatego najważniejszą sprawą w teatrze jest jednak klasyka. Przeraziły mnie niedawno wypowiedzi dyskusantów telewizyjnej rozmowy repertuarowej, w której wyrażane były głosy dezaprobaty przeciwko graniu przez nasz teatr „Dziadów” i „Horsztyńskiego”. Jeśli teatr nie gra romantyków i nie będzie grał Fredry, to nie spełni on w ogóle zadań, do których został powołany.

Pierwszorzędną sprawą dla niego musi być zawsze klasyka polska i obca. Winien on często grać Szejkspira i Moliere’a, ale jak ognia wystrzegać się raczej powinien przelotnych nowinek teatralnych takich jak sztuki Anouilha, czy nawet Dürrenmatta.

— Cóż, to brzmi nieomal jak świętokradstwo. Tak bardzo nie lubi Pan Dürrenmatta?

— Nie lubię i sądzę, że już może za 20 lat będą go uważali za rodzaj Scribe’a XX wieku. Dürrenmatt to tylko scenarzysta, sama zrzeczność teatralna. Czasem udaje się zrobić na tej kanwie świetne przedstawienie (np. „Frank V” w reżyserii Golińskiego), ale w samym tekście drażni mnie brak poważniejszej zawartości intelektualnej.

— A co sądzi Pan o tak dyskusowanych obecnie eksperymentach teatru autonomicznego i magii teatralnej?

— Wydaje mi się, że jest jeszcze tyle spraw nie odkrytych w ludzkim intelekcie, że nie trzeba uciekać się już do magii i prainstynktów teatralnych. Najważniejszą rzeczą w teatrze jest jednak aktor, to jak on zinterpretuje intelektualnie swą rolę.

— Ciekawi jesteśmy również Pańskich poglądów na współczesną dramaturgię polską, jakie nazwiska Pan w niej przede wszystkim dostrzega?

— Po festiwa’u wrocławskim polskich sztuk współczesnych wolałbym szerzej nie mówić o naszej dramaturgii. Oczywiście nie ma tu powodu do rozpacz. Mamy przecież jednego wybitnego pisarza — jest nim

Dokończenie na str. 2

Dokończenie na str. 2

WŁOSKI PAPIEREK LAKMUSOWY

Włoskie wybory samorządowe z trzeciej dekady listopada uczyniły z papierka lakmusa sytuację polityczną w tym kraju. Dla partii tworzących rządzącą koalicję centrolew była to kwestia oceny rezultatów ich polityki, czego nie wolno było lekceważyć.

W rezultacie kampania wyborcza była gwałtowna, a frekwencja wyborców wyjątkowa (ponad 90%). Wyniki stanowiły dużą niespodziankę. Charakterystyczne jest, że zwyciężyła koalicja centrolew (26% głosów), zyski socjaldemokratów (Saragata) liberalów, straty chadeckiej (Moro) i socjalistów (Nennio), klęska monarchistów i zachwianie koalicji centrolew.

Przypomnijmy tu pokrótce, jak rozwijało się życie polityczne w tym kraju w okresie powojennym. 20 lat temu Włochy przeszły swoistą rewolucję demokratyczną jako wynik ruchu oporu i obalenia faszystów. Owoce tego to m.in. powstanie republiki i uchwalenie demokratycznej konstytucji oraz bujny rozwój życia politycznego zorganizowanego w kilkudziesięciu partiach. Tuż po wojnie rządził gabinet 6-partijny, w którego składzie byli także komuniści. Wyliminowano ich z rządu wraz z socjalistami w 1947 r. i od tamtej pory chadecja w koalicji z socjaldemokratami, bądź partiami centrum czy też partiami prawicowymi.

W pierwszych wyborach powszechnych w 1948 r. zwyciężyła chadecja uzyskując 48,5% głosów, Front Ludowy (komuniści i socjaliści) uzyskał 31,7%, socjaldemokraci 7,8%, republikanie 2,5%, Blok Narodowy (różne drobne partie) 3,8% głosów. Od tego czasu wpływy lewicy nieustannie rosły, szczególnie na południu, gdzie kiedyś brak było wpływu socjalistycznych.

Tegoroczne wybory samorządowe mają specjalną wymowę, gdy zdamy sobie sprawę, że partia komunistyczna uzyskała w nich najwyższy odsetek głosów z wszystkich dotychczasowych (samorządowych i parlamentarnych), natomiast partia chrześcijańska — demokratyczna (chade-

cja) — najniższy (37,4) odsetek z wszystkich dotychczasowych. Stało się tak, mimo gwałtownej kampanii przedwyborczej, która przybrała niemal charakter nagonki na partię komunistyczną przy czym próbowano wykorzystywać zmiany dokonane na kierowniczych stanowiskach w partii i rządzie Związku Radzieckiego. W tej nagonce wyróżniła się chadecja i socjaliści Nennio; obie te partie zanotowały w rezultacie największe straty. Chciały one takim rozegraniem kampanii odwrócić uwagę społeczeństwa włoskiego od bieżącej sytuacji kraju, gdzie istnieją poważne niepokoję na rynku pracy, zmniejsza się stan zatrudnienia, rosną ceny artykułów żywnościowych, bankrutują masowo małe przedsiębiorstwa handlowe i produkcyjne.

Dlaczego sytuacja polityczna Włoch rozwija się w takim kierunku? Niełatwo się pokusić o odpowiedź na to pytanie, ale jednym z elementów odpowiedzi może być analiza głównych partii politycznych Włoch, ich genezy i celów politycznych. Otóż wszystkie istniejące dziś we Włoszech partie nawiązują w jakiś sposób do swoich odpowiedników z okresu przedfaszystowskiego. Komuniści zawiązali partię w 1921 roku, a odrodzili w 1943 i stanowią jedną partię klasowo jednolitą a jednocześnie masową (ponad 2 mln. członków, głównie robotnicy i intelektualści — marksisti). Socjaliści (Nenni) są jedyną partią socjalistyczną zachodniej Europy nie należącą do Międzynarodówki Socjalistycznej (gdzie natomiast przynależą socjaldemokraci Saragata). Miewali sojusze z komunistami, ale częściej i dłużej z Chadekami. Obejmują wszystkie niemal warstwy społeczne i mają najbardziej (po komunistach) zwartą strukturę organizacyjną swej partii.

Socjaldemokraci, którzy powstałi w 1947 r. z rozbitcia partii socjalistycznej, stanowią partię nieliczną (ok. 120 tys.) wzorowaną w swej strukturze na niemieckiej SPD. Posiadają wpływy wśród arystokracji robotniczej i urzędników prywatnych, głównie w prowincjach Lombardia, Piemont, Liguria. Jest to partia indywidualnych. Zbierają oni teraz wszyscy powyżej 300 kwintali ziemniaków z hektara, bynajmniej nie zwiększając ilościowo nawożenia mineralnego. Dobry obornik, popłony i przedplony, właściwa uprawa ziemi, kwalifikowane sadzenia, odpowiednie terminy sadzenia — to zadecydowało o powodzeniu. Podobnie z owsem, w tej samej wsi. Kierownictwo Sielinka powiada: sprzedamy wam na normalnych zasadach wymiennych ziarno siewne, kwalifikowane, w stopniu elity. Ale warunki: wszelkie zabiegi uprawowe i pielęgnacyjne pod naszym nadzorem. Rezultat? — 45 kwintali z hektara. I to w uprawie polowej.

Niech nikogo nie zdziwi teraz stwierdzenie, że rolnicy ze wsi Łagwy patrzą na Sielinko jak w tęczę — czemu dali wyraz w rozmowach z niżej podpisanym.

Przykłady można by zresztą mnożyć. Z najbliższej okolicy Zakładu

najbardziej „atlantycka” z wszystkich socjaldemokracji zachodnioeuropejskich, notuje stały spadek wpływów.

Republikanie są jedną z historycznych partii centrum. Grupują lewicowe mieszczaństwo, są laicystyczni, wpływy mają tylko w niektórych prowincjach. Ich wyborcy to drobni posiadacze, rentierzy, rzemieślnicy i to raczej ludzie starsi.

Chrześcijańska — demokracja jest partią zbiorczą surowych ascetów i zwolenników „dolce vita”, wielkich obszarników i robotników, urzędników państwowych i przemysłowców a także mas drobnej burżuazji. Cieszy się tradycyjnie jawnym i mocnym poparciem Watykanu. Deklaruje się jako partia ponadklasowa. Łączy się z kim może, by pozostać przy władzy i utrzymać istniejący porządek rzeczy. Więc najpierw w przemyśle powojennej sytuacji z komunistami i socjalistami, potem z małymi partiami laicystycznymi (socjaldemokraci, republikanie, liberalowie), ostatnie znowu z ugrupowaniami bardziej lewicowymi w rządzie centrolewu (Centrosinistra) z programem odnowy państwa.

Liberalowie to wyższa burżuazja, profesorowie uniwersytetów, wielcy przemysłowcy, właściciele ziemscy. Liczebnie partia mała.

W sumie więc (pomijając mnóstwo ugrupowań politycznych o znikomym znaczeniu) w obrazie politycznym Włoch wybijają się dwie silne, przeciwstawne partie masowe, między nimi grupa małych, mieszczańskich — reformistycznych partii elitarnych, które wcześniej czy później skazane są na zagładę.

Z tych dwóch głównych partii komunistów reprezentują program klasowy i jednoznaczny, a partię mają niezwykle silnie zorganizowaną. Chadeckiy natomiast mają partię rozdzieraną od wewnątrz sprzecznościami klasowymi, a program ich jest chwiejny i zmienny. Obecnie chadecja kokietuje lewicę, chce wprowadzić wzmoczoną interwencję państwa w gospodarce, przyspieszyć budowę szkół itp. Ale realizacja tego programu napotyka na różne trudności, rząd się raz po raz chwieje, a partia komunistyczna mimo kierowanych przeciwko niej niewybrednych oskarżeń i gwałtownych ataków rośnie stale w siłę. Analiza wieloletniego rozwoju życia politycznego Włoch pozwala przypuszczać, że proces przechodzenia społeczeństwa włoskiego ku lewicy będzie postępował.

Droga przez Sielinko

Dokończenie ze str. 1

z inicjatywą. Kolejny przykład: spółdzielnie produkcyjne powiatu nowotomyskiego notowały niepowodzenie w uprawie ziemniaków. Wiedzieli o tym w Sielinku i pewnego dnia zaproszono kilku przewodniczących oraz kierowników produkcji. Porozmawiano wstępnie. Drugie spotkanie, już szerszego grona w Komitecie Powiatowym partii, potem robocze — w spółdzielniach. Ustalono, że plantacje ziemniaczane będą pod opieką i nadzorem zakładu. Zastosowano kwalifikowane sadzenia, właściwą uprawę ziemi, racjonalne nawożenie, przy wcale nie zwiększonych dawkach. Rezultat? We wszystkich 14 spółdzielniach osiągnięto zbiory przewyższające 200 kwintali z ha. I tak już trzeci rok. Przelamano złą tradycję niskich zbiorów i dziś sami spółdzielcy pilnują upraw po nowemu.

Podobne doświadczenie z inicjatywy RRZD przeprowadzono parę lat temu we wsi Łagwy, wśród 33 rolni-

kiś drugoplanowy, o którym mniema się, że absolutnie nie zasługuje na jakąś ocenę krytyczną”.

A przecież programy telewizyjne ogląda 8—12 milionów osób...

A NA CO STÓŁ!

Nie chodzi tym razem o stół świąteczny, lecz ten zwykły codzienny. Artykułem tak zatytułowanym Danuła Majewska kończy „Tygodnik Demokratyczny” cykl artykułów, w którym ukazywała obecna sytuację rynku przez pryzmat produkcji spożywczych niektórych artykułów żywnościowych. Warto za autora zacytować kilka interesujących liczb.

W latach 1960/63 realny dochód przeciętnej rodziny zwiększył się o 5 procent. Ta przeciętna rodzina składa się z nas z 3,4 osób. „Najzamożniejsze” rodziny pracownicze zamieszkują w Warszawie. Przeciętna warszawska rodzina pracownicza dysponuje na osobę sumą 1250 zł miesięcznie, w Łodzi około — 1200 zł, na Śląsku — 1130 zł, w Krakowie i Poznaniu — po 1050 zł. Ile z tego wydajemy na żywność? Wciąż bardzo dużo, bo 51 procent. Ale za to odżywiamy się bardzo kalorycznie. Pod tym względem zajmujemy drugie miejsce w Europie po Czechosłowacji, spożycie przeciętne Polak

ka przekracza prawie o 50 procent poziom wyznaczony przez Organizację do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa jako tzw. „minimum biologiczne”. Niestety, struktura spożycia jest u nas wciąż jeszcze nieprawidłowa: jemy za dużo produktów węglowodanowych, za mało zaś (poniżej norm) produktów białkowych.

KAZIMIERZ JAŻWIECKI

WARSZAWA NIE DA SIĘ LUBIĆ!

„Polityka” rozesłała reporterów na najbardziej uczęszczane szlaki komunikacyjne, by przeprowadzić po drodze rozmowy z podróżnymi. Temat — ich stosunek do stolicy relacjonuje pod cytowanym wyżej tytułem Dariusz Fikus.

Najczęściej byli to podróżni z delegacjami służbowymi i iako tacy właśnie spożywają na stolice roku 1964. Sami uważają, że muszą tam jeździć zbyt często niepotrzebnie. I dlatego mówią o Warszawie z goryczą: narzekają na hoteli, gastronomiczne, komunikację i biurokrację. Zdaniem autora jest w takiej postawie tych ludzi „iakaś niechęć płynąca z kompleksu niższości”, spowodowanego — dodajmy — tym że jeszcze o zbyt wielu sprawach, czasami błahych, decyduje się właśnie w Warszawie.

STANISŁAW HEBANOWSKI

Dokończenie ze str. 1

Siawomir Mrozek. W podobnej sytuacji jest wiele krajów. Dobre teksty sceniczne nie rodzą się jak grzyby po deszczu. Dziwię się, że tak mało grają nasze teatry Brandstaettera, który ma przecież świetny zespół sceniczny i wciświe stanowi w naszej dramaturgii zjawisko zupełnie wyjątkowe przypominające pozycję jaką we Francji zdobył sobie Montherlant. Interesującym dramaturgiem jest dla mnie także Ireneusz Iredyński.

Jako kierownik literacki styka się Pan zapewne z całą masą masywnych debiutantów. Czy zdarzają się wśród nich sztuki ciekawe?

W tym roku przeczytałem już 36 dotąd nie granych sztuk. Bardzo wiele wśród nich jest jednak sztuk bełkotliwych, niezrozumiałych, naderżających obcą awangardę. Pisać jak Ionesco lub Beckett jest bardzo trudno, a o to właśnie kuszą się młodzi autorzy. I dlatego wolę osobiste sztuki bezpretensjonalne, napisane prosto, pokazujące zwykłą kawałek życia. Sądzę, że jedną z nich jest sztuka naszego aktora Józefa Fryzlewicza pt. „Zjazd”, którą mamy zamiar wystawić jeszcze w obecnym sezonie.

Sądzę, że nikt lepiej od Pana nie może znać publiczności teatralnej Poznania. Obserwuje ją Pan od 18 lat, czy może Pan coś o niej powiedzieć?

O publiczności teatralnej naszego miasta niewiele wszyscy właściciele wiemy. Niewiele też o niej mogę powiedzieć. Jedno tylko jest pewne, że wzrasta jej zainteresowa-

nie teatrem, że spotykamy się w nim coraz częściej z ludźmi, którzy dotąd nigdy do teatru nie chodzili. Miałem żal do publiczności, że nie docenia swego czasu świetnego przedstawienia „Wiecznego małżonka”. Sądzę jednak, że już obecnie przyszedłaby na niego. Atmosfera dla teatru staje się bowiem w Poznaniu coraz lepsza.

Na zakończenie mam już do Pana bardziej osobiste pytanie. Może zechciałby Pan powiedzieć coś o swojej pracy przekładowej i w ogóle o swoich planach literackich?

Zawsze kiedy tylko kończę jakiś przekład, obiecuję sobie, że był on już ostatni. Ale w końcu bierze mnie znowu jakaś sztuka, którą chciałbym zobaczyć na scenie i zabieram się do roboty. Wybieram sobie oczywiście tylko autorów najbardziej mi odpowiadających, tych, których chciałbym lepiej poznać. Czasami odkrywa się dzięki tej pracy niezwykle i nieoczekiwane rysy, czy piękności na pozornie „spizowanych” pomnikach. Najwięcej tłumaczyłem dotąd Corneille’a („Przedziwny kochanek”, „Iluzja”). Obecnie tłumaczę „Kłamec”. Bardzo lubię także Crommelyncka. Jego „Poranek trzeciego dnia” wystawił teatr w Kaliszu, Wrocławiu i szkoła teatralna w Krakowie. W Poznaniu ukażą się w moim przekładzie w styczniu jego „Dziecinia kochanków”. Razem ze Zbigniewem Osińskim myślimy o monografii Wilama Horzycy. Może wyda ją „Wydawnictwo Poznańskie”.

Rozmawiał:

OLGIERD BŁAŻEWICZ

Eugeniusz Pauksza

Studia i wspomnienia

Dawno już żaden tom wspomnień nie zainteresował mnie tak bardzo jak ogłoszone obecnie przez PIW „Szkice z przeszłości” Leopolda Infelda. Wybitny fizyk bardzo bezpośrednio i szczerze relacjonuje koleje swego życia od krakowskiego dzieciństwa przez cały szlak drogi naukowej aż po ostatnie nieomal dni. Powstają z kart książki postaci wybitnych uczonych, z Einsteinem na czele. A jednocześnie od strony widzenia człowieka nauki społgłady na okres kilkunastu minionych lat, tak w ciemnych jak i w jasnych ich barwach.

Drugim PIW-owski (dziś się tym wydawnictwem zajmuje) tom wspomnień. Tym razem Aleksandra Maliszewskiego „U brzegu mojej Wisły”, zgola uroczą opowieść świetnego pisarza i jednocześnie niezmordowanego działacza kulturalnego o trzydziestu latach warszawskich, gdzieś od lat 1905-ych aż do wybuchu ostatniej wojny. Szczególnie silnie wyakcentowany jest okres „Kwadrant”, której był współzałożycielem. Masa nazwisk, anekdot, nieznanych, arcyciekawych faktów, a to wszystko w ciepłym, nader życzliwym dla ludzi tonie serdecznej przyjaźni.

W serii „Ludzie żywi” tom Juliusza Żuławskiego „Byron nieupozwany”. Nie żałuję nieprzespianej nocy, przesiedzanej nad tą książką. Byron, postać zagadkowa, legendarna, do reszty odnaturalniona w rozmaitych „wspomnieniach”, jakie zaczęły masowo ukazywać się po jego śmierci. A jaki był naprawdę? Żuławski podał się trudu przesłedzenia zapisków, listów, opinii, własnych wypowiedzi Byrona o sobie, analizy jego tekstów, relacji krewnych i znajomych, aby spośród tego wyłowić najbardziej zbliżony prawdzie portret wielkiego artysty, ukazany na ile jego czasów. I oto okazuje się, jak odpadała załgane legendy, a zdradza się przed nami żywy, czujący człowiek, pasujący do swego dzieła, ale nie pasujący do inwektyw, którymi tak go obarczano. Arcyciekawe to studium, pisane z pasją, a zarazem samokontrola, by nie stwo-

rzyć jeszcze jednej nowej byronicznej legendy.

Pięknym gęślem rocznicowym stało się wydanie tomu rozpraw i szkiców „O Żeromskim” Wacława Borowego, krytyka, dla którego problem Żeromskiego był zawsze „wielkim, niepokojącym problemem literatury polskiej”, jak to słusznie podkreślał wydawcy. Z górą dwadzieścia pięć lat, aż po śmierć, interesował się Borowy Żeromskim, zarówno oceniając jego poszczególne utwory, analizując je, jak też zastanawiając się w szerszych szkiełkach nad zagadnieniami artysty formy, nad rytmiką prozy Żeromskiego, nad poszczególnymi motywami tematycznymi w jego twórczości. Wszystkie to zgrupowane w jednym tomie, obok rozmów i listów o Żeromskim, obok osobistych wspomnień, stanowi wyjątkowo cenny materiał poznawczy, a zarazem frańująca lektura.

Na pewno atrakcyjna, choć wymagająca pewnego przygotowania, lektura, stanie się dla niejednych pracą Ryszarda Przybylskiego „Dostojewski i „przeklepie problemy” (od „Biednych ludzi” do „Zbrodni i kary”), przedstawiająca ten okres twórczości Dostojewskiego na tle rozwoju etyki w Rosji w XIX wieku i słosunku do tych spraw posiaci Raszkolnikowa, jego obona koncepcji chrześcijańskiej harmonii świata, jego zwalpienia i walka z „upiorami”.

I jeszcze, na zakończenie, przynajmniej informacja o dwóch nowych pozycjach z IBL-owskiej serii prac z zakresu historii i teorii literatury. Pierwsza będzie studium Stefana Treugutta — „Beniowski” kryzys indywidualizmu romantycznego”, usiłujące wykazać, iż „indywidualizm w wariancie romantycznym”, „jest w poetyckim życiu rysie Słowackiego permanentnego, postępowego kryzysu”, najdobitniej objawiającego się właśnie w „Beniowskim”. Drugą pracą z tej serii, Zbigniewa Żabickiego z cyklu „Z problemów ideologii i estetyki pozytywizmu”, zajmuje się publicystyka emigracyjna Józefa Tokarzewicza (Hodiego) na tle prądów epoki, wskazując na znamienny proces drogi ideowej tego wybitnego publicysty swojego okresu od powstańczego patriotyzmu do pojednania z pozytywizmem, poimowanym jako program nie tylko literacki, ale społeczny i polityczny.

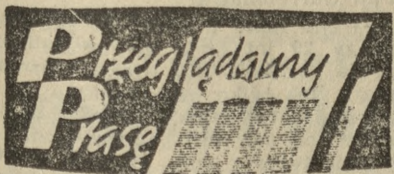
Z książką na ty

nach dziedzin nauki, praktycznych umiejętności sztuki, muzyki, nauki, obcych języków itp.”

*

PONADTO: „Życie Gospodarcze” drukuje rozmowę z prof. dr. O. Langem na temat planowania i koordynacji badań ekonomicznych; ten sam tygodnik zamieszcza artykuł Barbary Wiśniewskiej („20 miliardów na dzień kieliszka”), sygnalizującej pewne zmiany w strukturze spożycia napojów alkoholowych: wódki pijemy mniej, pijemy też słabszą wódkę, co robić, żeby te tendencje zwiększyć? „Kultura” przynosi artykuł Witolda Filiera o karierze Łazuka. „Walka Młodych” drukuje reportaż Jerzego Kochańskiego o ZMS-owcach Adamowa — „Kilkaset hektarów kraju”. „Gazeta Chłopska” publikuje artykuł Eugeniusza Paukszy o jego związkach z ziemiami zachodnimi — „Świadectwo serdeczne”.

LEKTOR



KRYTYCY O TV

„Kultura”, która niedawno wydurowała stenoqram dyskusji redakcyjnej z udziałem szefów naszej Telewizji, tym razem relacjonuje przebieg dyskusji na ten sam temat z udziałem recenzentów telewizyjnych („O parę portek dla króla”). Uczestnicy tej dyskusji, którym kierownictwo TV zarzucało niedostrzeżenie dobrych programów, wyklnęli TV z kolei — nie po raz pierwszy — niedostatek informacji o programach, co odbija się ze szkoda dla realizatorów programów, no i milionów widzów. Najbardziej istotne uwagi dotyczyły niedorozwoju krytyki telewizyjnej:

„Normalnym małym teatrze posiadającym dość ograniczoną przecież liczbę odbiorców — stwierdzano — pisze się w prasie wielkie recenzje, wymienienia się realizatorów, reżyserów, wykonawców. Recenzenci teatrów telewizyjnych, natomiast skazani są na maksymalną zwięzłość w wyrażaniu opinii. To samo dzieje się z filmem telewizyjnym, jest ja-